30 gr.

# Ilustrowany Tygodnik Polski

Nr. 16 Rok I

-Famulus- -Famulus-



## REBUS




*Pismo, które się podoba, winno być przyjacielem, popieranym zawsze i wszędzie.*

*ROZWIĄZANIE ZADANIA MATEMATYCZNEGO*

*W podobnych zadaniach, jak słusznie zaobserwowali niektórzy z naszych Czytelników, kilka jest rozwiązań, z pomiędzy których wybraliśmy dające liczbę 30.*

*Nagrody przez losowanie otrzymali:*

*1) L. Kanter w Brodach, 2) St. Kłopotowski w Drohiczynie, 3) M. Aleksandrowicz w Krakowie, 4) W. Kuderski w Warszawie, 5) K. Królikowski w Wyszkowie.*

# Z redakcyjnego biurka

**PP. Prenumeratorom.** Wobec nieuregulowania rachunków przez niektóre firmy, biorące pismo nasze w komis, prosimy tych PP. Prenumeratorów, którzy wpłacają prenumeratę nie bezpośrednio pod adresem naszej administracji, aby zechcieli zakomunikować nam, jakich numerów pisma nie otrzymali celem wyrównania braków. Komunikujemy również, iż egzemplarze, wysyłane w komis, nie mają arkuszów bezpłatnego dodatku powieściowego, który załączany jest jedynie dla PP. Prenumeratorów.

**Stanisławowi Lew... owskiemu.** Czynimy zadość słusznym uwagom i prosimy serdecznie o dalszą przyjaźń i współdziałanie. Bodaj się roiło od tak sympatycznych, jak należy sądzić i z formy i z treści listu, „miernot". Mocny uścisk dłoni.

**Autorce „Cieni nad miastem" i innych.** A więc zamieściliśmy... i nie za obietnicę jednania abonentów, gdyż rzecz sama w sobie była tego warta. Za okazywanie przyjaźni i życzliwości jesteśmy bardzo wdzięczni i prosimy o zachowanie jej nadal.

**Danucie Marji J... ninskiej.** Za miły list i słuszne uwagi dzięki. Prosimy o to samo nadal, gdyż umiemy cenić to, co dyktuje życzliwość. St. Jerwicz to niewiasta, autorka nagrodzonej swego czasu na konkursie „Bluszczu" powieści p. t. „Wira Horecka".

**Ryszardowi T... owi.** Tak coś tuż, tuż koło poezji, ale, niestety, to jeszcze nie poezja. „Bzy" — „łzy", „bez" — „łez" to zbyt banalne, jako rym, a już taka strofa, jak:

Nie pytaj mnie o to,
jak się kocha w życiu,
co to jest miłość
i jak następuje,
jak się wciąż tęskni
i wzdycha w ukryciu,
i co kochające serce
wówczas czuje.

Taka strofa zupełnie kuluje, chociaż przyznać należy, iż jest wśród nadesłanych utworów wyjątkiem. W każdym razie wszystko jeszcze nie na poziomie druku.

**Henryk Kołecki.** W miarę możności i rozwoju pisma nie omieszkamy skorzystać z życzliwych uwag. Polecamy się przyjacielskiej opiece nadal.

**A. Z. — autorce „W drodze do Łomży".** Moglibyśmy skorzystać z nadesłanej pracy, ale pod warunkiem zupełnego przepracowania jej na opowiadanie literackie. Temat ciekawy i ujęty nawet z tupetem. Prosimy o kilka słów w tej sprawie.

**Mieczysławowi Grzybowskiemu.** Przesłaliśmy numery wraz z czekami oraz informacją. Dziękujemy za łaskawe względy.

**Dr. med. J. Magalifowi.** Wielce jesteśmy obowiązani za dobre słowa i rozpowszechnianie pisma, za co składamy serdeczne podziękowanie. Życzenie Pana Doktora zakomunikowaliśmy referentowi działu.

# Wśród książek

**T. M. Nittman. W cieniu palm i minaretów. Nakł. księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.**

Cudowne, egzotyczne, pełne słońca krajoobrazy, jak bajka, przesuwają się przed nami, w tym roku szczególnie jakoś upośledzonemi przez aurę. Chciałoby się i nam podążyć za autorem do krainy palm, zachwycać się piękną przyrodą i ciekawemi śladami wielkiej kultury, które dają tyle krasy perle kolonij francuskich, Marokku, zroszonej niedawno krwią zaciętych walk powstańczych. Pierwszy raz spotykamy się z nazwiskiem autora, z książki tej jednak możemy sądzić, iż cieszyć się będzie wielkiem powodzeniem, tem wiekszem, iż młoda literatura nasza podróżnicza sobie prawa obywatelstwa wśród najszerszych mas społeczeństwa.

**Maciej Wierzbiński. Wolność. Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.**

Ostatnia powieść Macieja Wierzbińskiego, osnuta na stosunkach Wielkopolskich z okresu walk o wyzwolenie w 1918 r., wywołała, podobno, liczne komentarze w sferach lokalnych. powieść przepleciona jest bowiem licznemi uwagami politycznemi autora. Tem nie mniej zwykła żywość stylu, ciekawe rozwiązane epizody czynią z „Wolności" jedną z lepszych powieści, jakie ukazały się w ostatnich czasach na półkach księgarskich.

Opłata pocztowa ryczałtem 29 maja—5 czerwca 1927 r. Cena 30 gr.

# Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:

| | |
|---|---|
| Miesięcznie | Zł. 1.— |
| Kwartalnie | „ 3.— |
| Półrocznie | „ 6.— |
| Rocznie | „ 12.— |

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, el. 28-33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nedesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ BEZPŁATNY DODATEK POWIEŚCIOWY I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ.

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 16.

## Kartki z raptularza

KOŁOWACIZNA WYBORCZA... Stolica spędziła ostatni tydzień pod znakiem wyborów. Tylko piekielny sabat czarownic na Łysej Górze może daż słabe pojęcie o tem, co się dzieje i dziać będzie nadal podczas wszelkich tego rodzaju dobrodziejstw, uszczęśliwiających narody.

Przeżyliśmy próbkę wyborów tylko do Rady miejskiej, a cóż dopiero będzie, gdy wybierać będziemy do... parlamentu?

Tradycje odnowione zostały w całej pełni. Tak jak dawniej ,gdy ojce i dziady nasze wybierały elekta, to drożała słonina, gdyż tyle jej szło na okładanie spuchniętych boków, również i teraz niejeden bok połamany pozostaje na kuracji w szpitalu, niejedna głowa ma nadłupane i tak niezbyt mocne klepki, niejedna noga mniej chybko uwijać się będzie w tłumie, niż dotąd. Laski, kije, gumy, pięści i brauningi — słowem wszystkie argumenty wyborcze, były stosowane, a zwolennicy jednej listy stwierdzali wszem wobec, iż na innych są tylko same łapserdaki i złodzieje.

No i co?

A no nic! Wybory miały zwykły przebieg...

Brrr!...

PATENT NA ŚMIECIARZY... Nigdy jeszcze stolica nasza, i tak niezbyt chlujna po wojnie, nie wyglądała tak, jak śmietnik, albo oblepiona afiszami tancbuda, jak w tygodniu wyborczym. Wprost jakby się ubiegano o patent na śmieciarzy po wszystkich ulicach miasta.

Takich stert bibuły agitacyjnej, takich stosów cyfr i cyferek, z których wdzięczyły się litanje rajskich obietnic, takich w kogucim i pawim tonie utrzymanych plakatów i odezw nie widzieliśmy dotąd nigdy.

Można było oszaleć z zachwytu.

Kto i czego nie rzucał?

Jakiś motorniczy w tramwaju, co zakręcił korbą, to sypał garściami kartki z cyfrą, mniejsza o to, jaką. Dość, że sypał i sypał, jak z rogu obfitości.

— Czy nie szkoda tak marnować grosza? — zauważył jakiś sędziwy pasażer.

— A bo co? — burknął mistrz od korby.

— A to, lepiejbyście więcej dla siebie książek i pism za te pieniądze wydrukowali, to i bez tych świstków wiedzielibyście na kogo i na co głosować. Świstki takie tylko durnia przekonać mogą, bo ciemny, jak tabaka w rogu.

Rozmowa się urwała. Świstki mniej obficie padać poczęły od strony motoru.

KONIECZNIE NA „JEDYNASTKI“... Kasia także poszła spełnić obowiązek obywatelski. Jeżeli wszyscy, to wszyscy, i ona także.

Stoi w ogonku i czeka swej kolejki.

Rozmowa:

— Ja na 2-ę, ja na 12-ę — zwierza się ten i ów.

Kasia nie wytrzymała. I ona też musi się pochwalić:

— A ja na „jedynastki“ — oświadcza buńczucznie.

— Na co?

— Na „jedynastki“ — już mniej pewnie powtarza Kasia.

Kaskada śmiechu potrząsa całym ogonkiem wyborcow.

— Lepiejbyś na własną kieckę głosowała, a nie na „jedynastki“ — wykrzykuje ktoś z domyślających się, że zażartowano z Kasi. — A któż ci to poradził?

Zrozumiała teraz i Kasia. Sama się śmieje:

— A bodaj go! To ten kawaler, co to jest wojskowy...

Takie też głosują...

NADĘTE BAŃKI... Ależ ambicje niektórych ludzi, są tak górne, że aż fe!

Były listy, na które padło po 5 głosów, dosłownie pięć...

Cóż to znaczy?

Że są takie rozsadzane przez dumę i miłość własną typy, które za wszelką cenę pragną się stać ojcami narodu. Otumaniają siebie i innych. Sieją zamęt, rozbijają głowy, trwonią energję, czas i pieniądze, a co najważniejsze, że rozpraszają siły wyborców, godne z pewnością lepszego celu.



Krzesło kurulne i toga radcy miejskiego spać im nie daje.

A nuż się uda!

Niestety, nie udaje się, bo nie dość chcieć, trzeba jeszcze posiadać pewne walory i moralne prawa.

Nie pchaj się na afisz, jeśli nie potrafisz!

**Famulus.**

Z mojej karjery... Wywiad XVII

# Stefan Kiedrzyński

— Według mnie najciekawszym okresem z karjery każdego literata jest ten, gdy literat zaczyna nawiązywać stosunek twórczy z życiem. To też opowiadanie moje sięgnie pierwszych moich kroków na tem polu. Chwila ta w mojem życiu zbiega się z początkami literackiemi Wacława Grubińskiego, jak zdążyłem się przekonać o tem z wywiadu z nim, drukowanego w swoim czasie w „Famulusie".

Byłem uczniem prof. Miłosza Kotarbińskiego, artysty-malarza, kierownika szkoły rysunkowej, mieszczącej się wówczas na Placu Teatralnym. Podobno byłem niezłym materjałem na malarza. Po ukończeniu szkoły zamierzałem udać się do Krakowa, gdzie w Akademji pod kierownictwem Axentowicza i Mehofera miałem kontynuować moje studja malarskie.

W oczekiwaniu na wyjazd do Krakowa, gdy nic nie robiłem, przyszło mi na myśl napisać jakąś sztuczkę do nieistniejącego już dzisiaj teatrzyku „Elizeum".

„Gniazdko", taką bowiem nazwę nosiła pierwsza moja praca, zaniosłem Tadeuszowi Jaroszyńskiemu, dyrektorowi „Elizeum", który po uznaniu jej za nadającą się na scenę, wystawił ją.

„Gniazdko" spotkało się z uznaniem, a ja, zachęcony przez tych, którzy je widzieli lub czytali, odłożyłem wyjazd do Krakowa, pragnąc przez ten czas zająć się pisaniem. Do dalszej pracy zachęcał mnie bardzo Marjan Gawalewicz, noszący się z myślą utworzenia w Warszawie teatru.

Tak samo jak Grubińskiego — Junosza-Stępowski, mnie zachęcał również doskonały w owym czasie aktor Edmund Weichert, zabity później na wojnie, bym odwiedził Przybyszewskiego, dookoła którego skupiało się wielu literatów. Jednak nie miałem na to ochoty, a to z tej przyczyny, że obawiałem się usłyszeć prawdę, szczerą, ale bolesną i przykrą.

W tym czasie zaszedł pewien fakt, który zdecydował u mnie o zmianie malarstwa na literaturę. Fakt ten zawiera w sobie i pewną dozę komizmu.



*STEFAN KIEDRZYŃSKI*

znany i cieszący się popularnością autor granej obecnie z wielkiem powodzeniem w Teatrze Małym sztuki p. t. „Nie trzeba się niczemu dziwić", pozatem autor szeregu powieści i wielu innych sztuk teatralnych, z których „Kobieta, wino, dancing" święciła wyjątkowy triumf.

Teatr „Rozmaitości", wyznaczając wielką nagrodę pieniężną, ogłosił konkurs na napisanie sztuki teatralnej.

Postanowiłem w konkursie tym wziąć udział. Zważywszy jednak na nieprzychylne wobec mnie stanowisko poszczególnych członków „jury", musiałem się należycie zakonspirować. Najbardziej niechętnie usposobionym wobec mnie był zmarły dwa lata temu Władysław Rabski, publicysta i krytyk teatralny. Inni członkowie „jury" również źle się do mnie odnosili, musiałem więc postarać się, by co do mojej osoby nie było najmniejszego nawet przypuszczenia, że biorę udział w konkursie. Jedynym człowiekiem, mi przychylnym, był świetny artysta, obecnie zasłużony prezes Z. A. S. P.-u (Związku Artystów Scen Polskich) p. red. Śliwicki, który też, coprawda, nie wiedział, że biorę udział w konkursie.

Na ostatniem zebraniu „jury", poprzedzającem ogłoszenie wyniku konkursu, Rabski w obszernem referacie przedstawił, że 1-ą nagrodę należałoby przyznać autorowi utworu p. t. „Dzisiejsi", gdyż dramat ten najbardziej zasługuje na wyróżnienie pod względem point'y i budowy. Projekt swój odznaczenia 1-ą nagrodą tej sztuki, zakończył Rabski temi słowami: „Tak dobrą sztukę mogła napisać tylko Zapolska".

„Jury" było tego samego zdania, co Rabski. Głosowanie, przeprowadzone natychmiast, uchwaliło jednogłośnie przyznać 1-ą nagrodę autorowi „Dzisiejszych", którego nazwisko, nieznane nikomu, pozostawało w zapieczętowanej kopercie.

Po zaprotokułowaniu głosowania przystąpiono do rozpieczętowania koperty, zaopatrzonej w to samo godło, co sztuka.

Nastąpiła konsternacja.

W kopercie znajdowało się moje nazwisko, nazwisko najmłodszego autora, nie powiem, żeby mile stwierdzone przez „jury", ale, niestety, zapóźno, bo już po otwarciu koperty.

O przebiegu zebrania jury i okolicznościach przyznania mi nagrody dowiedziałem się o wiele później. Nagroda wynosiła na tamte czasy sumkę pokaźną — 1000 rubli, co z tantjemą od wystawianej następnie sztuki przyczyniło się do utrwalenia we mnie przekonania, że bardziej stworzony jestem do literatury, niż do malarstwa.

— Możeby pan coś jeszcze dodał o innych swoich sztukach teatralnych?

— Co to, to nie! Rzecz napisaną, zaliczam do przeszłości, odeszła już, nic mnie nie obchodzi. To, co napiszę dopiero, to obchodzi mnie najbardziej.

— A więc...

— W niedługim czasie odbędzie się premjera mojej sztuki p. t. „Romans Florencki" ze Stępowskim w roli głównej. Jest to sztuka na tle epoki włoskiego renesansu.

*M. Godl.*

*W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" dotąd kolejno głos zabrali: Wacław Sieroszewski, Zygmunt Bartkiewicz, Zofja Nałkowska, Andrzej Strug, Zuzanna Rabska, Gustaw Daniłowski, Marja Rodziewiczówna, Stanisław Przybyszewski, Wacław Grubiński, Aleksander Świętochowski, Karin Michaelis, Juljan A. Święcicki, Aleksander Kraushar, Maciej Wierzbiński i Antoni Ferdynand Ossendowski.*




„Sławkowa sława".

Gdy popularną tę niegdyś na Wołyniu usłyszymy przymówkę, zdawaćby się mogło, iż chodzi tu o jakieś wiekopomne czyny, któremi jakiś Sławek się wsławił.

Jakże mylą pozory?...

Powiedzenie to bowiem poszło z powodu straszliwie głupiej mowy, którą był wyrzekł Sławek, uczeń liceum Krzemienieckiego, nad grobem swego przyjaciela, biednego garbuska, o którym nietylko historja, ale i kroniki liceum żadnej pamięci zachowaćby nie mogła, jakoże garbusek nie tylko na figurze był upośledzony, ale, niestety, i na umysłowych zdolnościach.

Napuszona też mowa Sławka spowodowała złośliwie „epitaphium", które nieznana ręka na grobie wypisała:

Tu leży garbus,
z garbu sławny a nie z głowy,
Sławę jego sławnemi
Sławek sławił słowy,
Zrzekłbym się chętnie
życia mojego połowy,
Byle na mym pogrzebie
Sławek nie miał mowy.

*

Przyznać należy, iż niezbyt przyjemnie człowiekowi, gdy ujrzy na scenie teatralnej żywą swą karykaturę, odtworzoną na śmiech widzom.

Taki właśnie despekt spotkał pewnego dziennikarza ze strony słynnego komika, Alojzego Żółkowskiego.

Śmiali się wszyscy, ofiara jednak, nie chcąc darować Żółkowskiemu, drogą sądową zmusił aktora, by ten przy świadkach i w mieszkaniu dziennikarza przeprosił go za zniewagę.

Godzina umówiona. Śmieje się ofiara na myśl o upokorzeniu swego przeciwnika, śmieją się świadkowie, podlewając sobie węgrzyna, którego nie żałował im gościnny gospodarz.

Wtem drzwi się uchylają... Żółkowski, głowę tylko pokazuje i pyta:

— Czy tu mieszkanie pana Ziółka, szewca.

— Nie— odpowiada zdziwiony dziennikarz. — To na drugiem piętrze.

— A przepraszam, bardzo pana przepraszam — rzecze Żółkowski i szybko uchodzi, spełnił wszak to, co mu sąd nakazał.

Śmiali się wszyscy, dziennikarz jednak do końca życia przeciw Żółkowskiemu chował urazę.

*

Paskarzom „Nowobogackim" anegdotę tę poświęcamy by mogli się szczycić stuletnią tradycją swego kupieckiego pomysłu i życiowych niepowodzeń, których pewnie nie poskąpił los w ich spekulanckiej praktyce.

Sto lat temu niejaki Trentowski, nauczyciel muzyki przy liceum Krzemienieckiem, umyślił rentowniejszy zarobek, niż mu artystyczno-pedagogiczna praktyka dawała, postanowił bowiem przed Wielkanocą wszystkie jaja w Krzemieńcu i okolicy skupić, by za podwójną cenę sprzedawać gosposiom.

Zacierał sobie ręce z radości nasz Trentowski, myśląc o tym gwałcie, jaki w ostatniej chwili, gdy baby i mazurki piec należy, wywoła, a że chłodna była wiosna, więc z obawy, by nie zepsuły mu się jaja w ciepło opalanej izbie je trzymał.

Nie przewidział nieborak, że ciepło szkodzi jajom, jakoże wszystkie znakomicie zmarnowały się.

Nie było jaj, nie było i świątecznego pieczywa, ale, co gorsza, stracił Trentowski praktykę w wielu domach, biedę klepiąc do końca żywota.

Pocieszyć się mógł, chyba tylko sławą, jaką był zyskał na tej aferze, sławą uwiecznioną popularnem powiedzeniem: Stracił, jak Trentowski na jajach"...

## Przymówki na maj

### Na Wniebowstąpienie

Pan Bóg w niebo,
robak w mięso,
kwas w piwo,
a djabeł w babę.

*(Od tej doby bowiem, mięso podlega zepsuciu razem z piwem, a czarownice, wedle odwiecznych przesądów, mogą deszcze i grady sprowadzać na klęskę rolników)*

Moda w każdym wieku miała swoje kaprysy i wybryki. Zwłaszcza dziwaczną była w końcu XVIII wieku, gdy za króla „Stasia" przywędrowała do nas wraz ze wzorami francuskiemi i angielskiemi.

Lord Chesterfield, zapytany raz przez Woltera, jaką znajduje różnicę między francuską i angielską wytwornisią, rzekł krótko: „Nie znam się na malowidłach". Był to kolorowany ogród warzywny. Fryzura, wzniesiona na osobnem rusztowaniu z drutu i drzewa, dochodziła długości połowy ciała, a zdobiły ją koronki, kwiatki, gwiazdy, lasy, wstążki, pióra, zwierzęta i ptaszki. Wszystkie niewiasty były czarujące. Panna Mniszchówna z Dęblina należała do prawdziwych piękności, pomimo że była kulawa, garbata i zezowata. Korki u trzewików zaradzały skróceniu nogi, wypychanie jednej łopatki utaiło zbytnia wypukłość drugiej, pukle peruki, zesunięte na czoło, zakryły zeza w oczach.



Ze starych rycin: Zapytano malarza chorego, czy nie ma co skończonego ze swych prac. — Mam — odpowiedział chory, wskazując ręką na czyste płótno —oto przejście Izraelitów przez Czarne Morze. Zdziwieni pytają. — Gdzie Mojżesz? — Malarz: — Już przeszedł? — Pytają znowu: — A Faraon, goniący ich? — Malarz: — Zatonął!

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA

# Śmierć cudotwórcy

— Rebe...

Przygasłe oczy podniosły się z nad księgi i patrzyły chwilę w twarz młodego żyda w pół przytomnem spojrzeniem wracającej gdzieś, z dalekiej krainy snów duszy człowieczej, wreszcie rozświecił je błysk pełnej świadomości.

— To ty, Efraimie...

Młodzieniec głową skinął i smukłą rękę na kartach księgi położył.

— Rebe, po północy już, spać wam czas.

—Zostaw mnie, Efraimie, ja, czuwając, śpię, a śpiąc, czuwam, ja już od życia coraz dalej, dalej, chociaż żyję. Ja już z tamtego brzegu.

Starcza głowa, kiwająca się bezwolnie na chudej, żylastej szyi, w mdłym rozbłysku oliwnej lampki, wyglądała, jak wid. Śnieżna broda opadała na czarny atłas kabatu, woskowo-żółte ręce spoczywały nieruchome na skórzanych oparciach gdańskiego fotelu, i jeno oczy, głęboko ukryte w oczodołach, niesamowitym świeciły blaskiem.

Rebe Aron ben Akiba, ze słynnego rodu cudotwórców i sam cudotwórca, dochodził już wieku stu lat, gdy z pruskiej ziemi do Polski się schronił. trudy podróży podkopały do reszty starczy organizm, i Rebe gasł, jak gaśnie lampa oliwna, gdy jej zabraknie oliwy.

Rebe jasnowidzem był, rozwinął się w nim ten dar niezwykły w starczym wieku dopiero. Oczy jego przybierały wtedy wyraz martwy i przenikający razem, utkwione w jeden punkt, zdawały się one jedne skupiać całą siłę żywotną organizmu, powieki cofały się wtedy tak silnie wgłąb czaszki, że, wróciwszy do przytomności i normalnego życia, Rebe, musiał je nieraz wyciągać palcami. Nie miał Aron ben Akiba wizji przyszłości dalekiej, nie, miewał jeno zjawy przeżyć codziennych, widywał wypadki, które nadejść miały. Na kilka dni przed tem nad ludźmi, którzy umrzeć mieli, widywał światła, a siła tych świateł pozwalała mu odgadywać, jak rychło śmierć nadejść miała.

I teraz nagle, starcza jego twarz przerażeniem pobladła, bo poza smukłą, pełną życia i tężyzny młodzieńczej postacią swego sekretarza dojrzał owe blado-zielone, niesamowite promienie. Zdawało mu sie, że, wydzielając się z sylwetki młodego żyda, przesycają całą izbę tem światłem dziwnem spokojnem, cichem światłem śmierci, która nadchodzi.

— Rebe, oprzyj się na mnie i chodź spocząć. Już dawno północ otrąbił stróż nocny.

— Efraimie...

Chude palce wpijają się w młodzieńcze ramię aż do bólu.

— Efraimie, zali ty bardzo żywot miłujesz?

Po smagłej twarzy młodego żyda przesunął się uśmiech:

— Miłuję go, rebe, w domu u mnie szczęście mieszka, żonę mam młodą, dobrą, nad podziw urodną a kochającą, dzieci zdrowe. Szczęśliwy jestem.

— Śpią już dzieci twoje?

— Śpią.

— Dawno już nie widziałem śpiących dzieci, jeszcze gdy moje własne, kiedy to było, ile lat, ile dziesiątek lat, teraz już wszystko na tamtej stronie, a na tym brzegu jeno ja sam zostałem, sam, jako ten palec. Zaprowadź mnie do twoich dzieci, Efraimie, nie pobudzimy ich.

— Pójdź, rebe, jeno lampę weźmę, bo na schodach ciemno, a u nich też, bo śpią już wszyscy.

Ciężko oparła się ręka starca na młodzieńczem ramieniu, w głuchej ciszy śpiącego domostwa szłapały pantofle po drewnianych dylach podłogi.

— Z progu zobaczę... Dziękuję ci, że spełniłeś moje życzenie, Efraimie, nie wiem, dlaczego pragnąłbym dziś zobaczyć życie młode, bujne, niczem niezagrożone życie, może dlatego, że we mnie dogasa... może...

Cicho młody żyd rozwarł drzwi do alkierza i lampę podniósł wysoko. Zdziwiło go, że rebe żachnął się nagle w tył i drżącą, woskowo-żółtą ręką w dłoń mu się wpił. Cóż go przerazić mogło?

Wspomnienie?

Przed niemi w bogato urządzonej komnacie spała rodzina Efraima. W bezładzie kolorowych, jedwabnych poduszek, rysowała się młoda, śliczna główka kobieca o ustach rozchylonych w uśmiechu. Ramię, od marmurów bielsze, garnęło ku sobie we śnie nawet tkliwym ruchem macierzyńskiego miłowania kruczą główkę niemowlęcia. Różowy policzek dziecięcy i usta poruszające się przez sen spoczywały na piersi matczynej. Po drugiej stronie kobiety spał chłopaczek może dwóchletni, trzymając w tłustych łapinach konika, wystruganego z drzewa.

Z uśmiechem dumy i bezmiernego miłowania patrzał na tych swoich Efraim, zaś z grozą, graniczącą z obłędem, ben Akiba.

Efraim widział sen i jego piękno. Ben Akiba jednak widział... śmierć.

Zielonawe. niesamowite światło i tu pełzało po jedwabiu pościeli, promieniowało z ciał, przesycało ciemnie.

Co ze mną... co?...

Ben Akiba oczy ręką przesłonił, ręką, co drżała, jak liść na wichurze.

— Biedak, zmogły go wspomnienia... — pomyślał ze współczuciem młody żyd.

— Biedak, jego szczęście, jutra nie przeżyje — myślał starzec, i dwie łzy wymknęły mu się z pod powiek. I dlaczego oni, oni, tacy młodzi, silni, zdrowi, życiu przynależni jeszcze tak bardzo, a nie ja, co tu już od lat, jako cień jestem zbłąkany z tamtego brzegu.

Dlaczego nie ja!? O Jahwe!

— Chodźmy, Efraimie...

Młody żyd raz jeszcze odwrócił się w progu i wdzięczny obraz śpiących ogarnął spojrzeniem.

Cichutko zamknęły się drzwi, i po dylach podłogi wlokły się znów ciężko, szłapiąc pantoflami, nogi starca.

— Idź spocząć, rebe.

— Nie jestem senny. Modlić się będę, czasem modlitwa wstrzymuje grom, który ma uderzyć, może powstrzyma. A ty wróć do twoich, Efraimie, zostań z niemi, człowiek nigdy nie wie, co dla niego kryje najbliższa godzina.

Młody żyd pobladł, oczy pociemniały wzruszeniem, i glos się rwał z piersi lękiem ochrypły:

— Zali... widziałeś co rebe?

— Nic...

Rebe raz pierwszy w życiu kłamem splamił usta:

— Nic! — powtórzył.

— Zali moim co grozi?...

— To, co każdemu z nas zawsze grozi, Efraimie, nic więcej. Stary już jestem, czuję ciężar tej starości i widzę, że wiedza ludzka zawsze ma swoje granice. Człowiek może przeczuć grom, ale nigdy nie wie, skąd i kiedy uderzy. Idź do twoich Efraimie.

— Rebe...

— Modlić się będę i... ty się módl.

— Rebe, na Boga, widziałeś co?

— Powiedziałem ci już, że nic nie widziałem, Efraimie. Przyszłość jest zawsze w ręku Boga i lepiej gdy człowiek nie wie, co mu przyniesie.

Efraim odszedł równie cicho, jak przyszedł, a wraz z nim zniknęło zielonkawe, martwe, spokojne światło.

Rebe ciężko w gdańskim fotelu usiadł, na skórzanej poręczy oparł woskowe dłonie, pochylił głowę, modlił się... Za oknem wiatr wiosenny się rozhulał, szarpał okiennicą zamknioną, chybotał płomieniem lampy, wdzierając się w głąb izbicy jakąś niedostrzegalną szparą.

Rebe się modlił, ale nagle powieki ciężkie się stały i opadły na oczy szeroko rozwarte.

Sen?

Może i sen.

Ktoś wszedł... drgnęły firanki...

Wiatr?

Może i wiatr.

Nos się nagle zaostrzył, wgłębiła silniej linja ust, pierś podniosła się nagle wysoko, szukając tchu, i wtedy jedna z rąk kurczowym chwytem palcy pochwyciła sukno, pokrywające stół...

Lampa drgnęła, zachwiala się, obaliła.

Strumień oliwy popłynął po księgach, wielką plamą wsiąknął w adziamski kobierzec a w ślad za tym strumieniem pobiegł płomień, liznął grzbiety ksiąg krwawym jęzorem, dotknął sukna, spłynął na kobierzec, pochwycił jedwabny kaftan zmarłego rabina i rozszalał się pożogą.

W mgnieniu oka ogień ogarnął pergaminy, kobierce, przerzucił się na drzwi, wypadł w sień, pochwycił w swe mocarne szpony schody drewniane, wpełznął do alkierza... Rzucił chmurę gryzącego dymu i złote wężowiska płomieni, pełzał, sycząc po obiciach ścian, wgryzł się w drzewo belek, rozwiał, zwęglił włosy złotorudej Racheli, zdławił życie w piersiach dzieci, w ciała się wżarł.

Jeden Efraim się zbudził, spał jeszcze lekko, niespokojnie, porwał się, gdy dym go już dusił i parzyły płomienie, porwał się, by rozszerzonemi grozą oczyma dojrzeć śmierć nadchodzącą w pożodze, i runąć.

A płomień buchnął nazewnątrz, przelał się w ulice, przez przeżarte, zwęglone do cna okiennice, przez dach, przez ściany, rozpadające się nagle w gruz.

Płomień buchnął. Złote języki liznęły sąsiedni dach, fontanną skier, słupem dymu strzeliły ku niebu, szarzejącemu pierwszem świtaniem. Gryzący swąd zgłuszył woń kwiatów i traw rośnych.

*ELEŁ*

# *Z cyklu: „Radość życia“*

## *SZCZĘŚCIE...*

*Nic ze snu! Nie dam rady — pościel mi obrzydła!*
*Szczęście spać mi nie daje! Już więcej nie zasnę!*

*Zresztą spać, gdy u ramion ma się złote skrzydła —*
*To nawet niewygodne — wszak łóżko zaciasne!*

*Spać, gdy w duszy mi wiosna triumfu hymn śpiewa —*
*To byłoby okropne — nie mogę! nie mogę!*

*Nie! lecę na ulicę budzić ze snu drzewa,*
*Gwiazdy z nieba pozmiatać, tworząc słońcu drogę!*

*Chcę się skąpać w sadzawce z jaskółkami razem —*
*(Mniejsza o to, że woda jeszcze zimna w maju!),*

*Chcę nacieszyć się cudnym, szkarłatnym obrazem*
*Pędzącego o świcie pierwszego tramwaju!*

*Na „ty“ sobie wypiję w pierwszym lepszym barze*
*Z jakimś kundlem bezpańskim lub z dryndziarską szkapą.*

*Nie! kupię katarynkę! Tak! kataryniarzem*
*Trzy dni będę, zbierając sobie datki w czapę!*

*A gdy mnie zapytają, ktom jest? — z pięknym gestem*
*Odpowiem i z wysoko podniesionem czołem,*

*Że z nieba dziś na ziemię wypędzonym jestem,*
*Ze szczęścia zwarjowanym, wesołym aniołem!*

## *GDYBY...*

*O, Pani! gdyby Pani była róży pąkiem,*
*Rozkwitłym w perłach rosy i śród blasków słońca*
*Już jabym się postarał być pszczołą, czy bąkiem*
*I piłbym, piłbym słodycz róży tej do końca.*

*Świątynią, gdyby Pani, dajmy na to, była,*
*Jak bigot w niejbym siedział dniami i nocami,*
*Napewno wiem, że nigdy żadna ludzka siła*
*Nie mogłaby mnie wyrwać stamtąd obcęgami.*

*A gdyby Pani była (w przypuszczeniu śmiałem)*
*Aż jakimś krajem — jakim, zresztą mniejsza o to,*
*Więc gdyby Pani była jakimś krajem całym,*
*To, Boże, jakim jabym był w nim patryjotą!*



# *Piękno Polski z lotu ptaka*

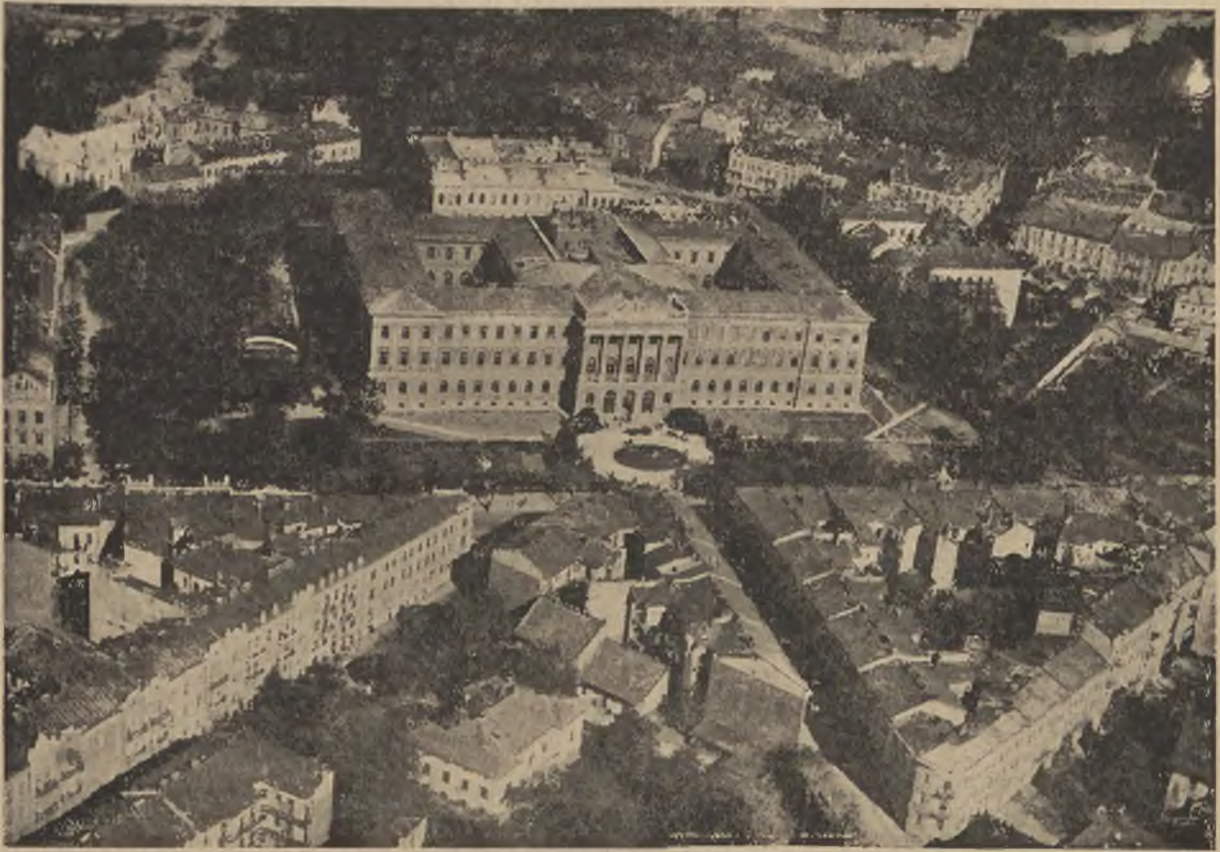
*Z cyklu: „Zwiedzajmy Polskę!"*



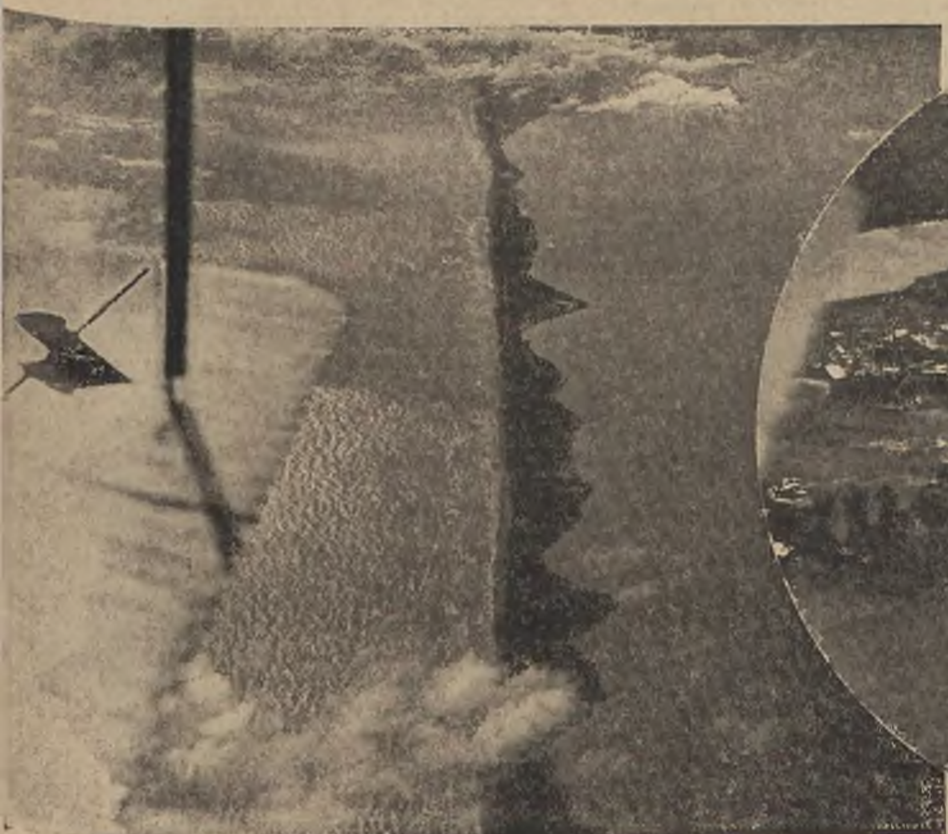
Kraków i kopiec Kościuszki z samolotu



Wilno z samolotu



Lwów i politechnika lwowska z samolotu na wysokości 200 m.



Półwysep Hel od Wielkiej Wsi z samolotu na wysokości 2.500 metrów



Miasto Chełmża na Pomorzu

GUY DE MAUPASSANT.

# Szymuś bez ojca

Oddzwoniono południe. Drzwi szkolne się rozwarły i wybiegła gromada wisusów, poszturchując się, by co prędzej wydostać się na wolność. Zamiast jednak rozprószyć się co szybciej i iść do domu na obiad, jak to czynili co dnia, przystawali co parę kroków, łączyli się w grupki szepcząc między sobą.

Powodem tych szeptów był Szymuś, syn Blanchotte'y, który dziś po raz pierwszy przyszedł do szkoły.

Każdy z tych chłopców słyszał, że w domu mówiono rozmaicie o Blanchocie, a jakkolwiek przyjmowano ją wszędzie bardzo dobrze, to jednak matki między sobą, odnosiły się do niej z pewnem politowaniem trochę wzgardliwem, co przyswoiły sobie także dzieci, nie wiedząc wcale dlaczego.

Szymusia nie znały, gdyż nigdy nie wychodził z domu, nie uganiał się z niemi po wsi, ani nad brzegiem rzeki. Wcale go też nie lubiły; i z pewną radością, pomieszaną ze zdumieniem, przyjęły i wzajem sobie udzielały wiadomości, zasłyszanej od chłopca niespełna piętnastoletniego, który zdawał się dużo wiedzieć, sądząc ze sprytnego zmrużenia oczu, gdy mówił:

— Bo widzicie... Szymuś... no, on nie ma ojca...

Kolejno i syn Blanchotte'y ukazał się na progu.

Mógł mieć siedm do ośmiu lat. Był trochę bladawy, czyściutki, z minką trwożną, niemal bezradną.

Skierował się ku domostwu matki, gdy grupki kolegów, ciągle szepcząc i spoglądając nań złośliwemi, okrutnemi oczyma dzieci, obmyślających jakiś cios, zaczęły go otaczać, aż po chwili zamknęły go w kole bez wyjścia. Stał więc w pośrodku nich, zdziwiony i zakłopotany, nie rozumiejąc, co zamierzają. Aż tu chłopiec, który przyniósł był ową wiadomość, dumny z rezultatu osiągniętego, zwrócił się do niego z zapytaniem:

— A jakże się ty nazywasz?

Odparł:

— Szymek.

— Co? Szymek? — pytał tamten.

Dziecko, całkiem już zmieszane, powtórzyło:

— Szymek.

Chłopak krzyknął:

— Szymek nazywa się byle kto... to nie jest żadne nazwisko... rozumiesz?

Chłopczyk, którego już łzy dusiły w gardle, powtórzył po raz trzeci:

— Ja się nazywam Szymek.

Mali nicponie wybuchnęli śmiechem. A starszy chłopiec triumfującym tonem oświadczył:

— Widzicie, że nie ma ojca.

Zapadło głębokie milczenie. Dzieci osłupiały wobec faktu tak niezwykłego, niemożliwego, potwornego: chłopiec, nie mający ojca! I spoglądali na niego, jak na jakiś fenomen, istotę pozanaturalną, czując, że potęguje się w nich wzgarda dotąd niewytłómaczona, jaką matki żywiły dla Blanchotte'y.

Szymuś oparł się o drzewo, by nie upaść i trwał tak jakby przygwożdżony, unieruchomiony ową klęską niepowetowaną. Chciał się tłumaczyć, lecz nie znajdował żadnej odpowiedzi, nie wiedział, jak zaprzeczyć tej rzeczy potwornej, że nie ma ojca. Nakoniec, cały zsiniały, krzyknął na chybił trafił:

— Nieprawda! Ja mam ojca!

— A gdzie? — spytał chłopiec.

Szymuś milczał, tego bowiem nie wiedział. Chłopcy chichotali, niezwykle podnieceni; dzieci natury, bardziej zbliżone do zwierząt niż do ludzi, uczuwali tę potrzebę okrutną, która kury w podwórzu pcha do zamordowania siostry zranionej. Nagle Szymuś ujrzał chłopczyka z sąsiedztwa, syna wdowy, który zawsze wychodził sam z matką, tak jak on.

— A ty przecie także nie masz ojca — rzekł do niego.

— O nie! Ja mam.

— A gdzie? — dorzucił Szymuś.

— Umarł — z dumą oświadczyło dziecko. — Na cmentarzu jest mój tatuś.

Szmerem uznania przyjęto to wyjaśnienie, jak gdyby fakt posiadania ojca na cmentarzu wywyższał owego kolegę, miażdżąc równocześnie tego drugiego, który wcale nie miał ojca. I ci ulicznicy, których ojcowie byli przeważnie łajdakami, pijakami, złodziejami, katującymi swe żony, poszturkiwali się wzajem, coraz bardziej zacieśniając koło, jak gdyby oni, prawowici potomkowie, zdusić chcieli chłopczynę, stojącego poza prawem.

Jeden z nich, stojący najbliżej Szymusia, pokazał mu język i drwiącym tonem zawołał:

— Nie masz ojca! nie masz ojca!

Szymuś oburącz chwycił go za włosy i zaczął go kopać w łydki, równocześnie kąsząc go w policzek. Zaczęła się bójka na dobre. Rozdzielono zapaśników, poczem schwycono Szymusia, szarpiąc, męcząc, tarzając po ziemi, wśród radosnych wykrzyków całej zgrai. Gdy się nareszcie dźwignął, mechanicznie czyszcząc ręką bluzeczkę, całkiem okurzoną, jeden z wisusów zawołał:

— Idź, poskarż się swemu ojcu!

Na te słowa, malec uczuł bolesny skurcz serca. Byli silniejsi od niego, obili go, a on nie mógł im nic odpowiedzieć, gdyż czuł, że prawdą jest. iż nie ma ojca. Przez dumę powstrzymał łzy, dławiące go w krtani. Po paru sekundach jednak, nie mogąc się dłużej hamować, zaczął cicho płakać, a łkania gwałtowne wstrząsały całem jego ciałem.

Wówczas radość okrutna opanowała jego wrogów i podobnie jak dzicy w swych uciechach straszliwych, ujęli się za ręce i zaczęli tańczyć wokół niego, powtarzając raz po raz:

— Nie masz ojca! nie masz ojca!

Nagle Szymuś przestał łkać, bezprzytomny z wściekłości. Obok leżały kamienie; pochwycił kilka i z całej siły zaczął obrzucać swych katów. Trafił dwóch czy trzech, którzy wrzeszcząc zaczęli uciekać, a minę miał tak groźną, że strach paniczny zdjął pozostałych. Tchórzliwi, jak zwykle bywa tłum wobec zrozpaczeńca, rozprószyli się i uciekli.

Pozostawszy sam, chłopczyk nie posiadający ojca, zaczął biec ku polom, gdyż odżyło w nim pewne wspomnienie, spowodując w umyśle jego wielką decyzję. Oto postanowił utopić się w rzece.

Przypomniał sobie bowiem, że przed tygodniem jakiś nędzarz, który przez całe życie był żebrał, rzucił się do rzeki, nie mając ani grosza. Szymuś był obecny, gdy go wydobyto z wody; i biedak ów, który zawsze wydawał mu się brudnym. brzydkim i godnym pożałowania, zastanowił go swą twarzą spokojną, bladą, długą mokrą brodą i oczyma rozwartemi. bardzo spokojnemi. Dokoła mówiono: „Nie żyje“. A ktoś dodał: „Teraz mu już dobrze“.

Szymuś postanowił się także utopić, ponieważ nie miał ojca, jak uczynił ów nędzarz, co nie miał grosza.

Podszedł tuż nad brzeg rzeki i przyglądał się jej spokojnemu biegowi. Kilka rybek igrało w toni przeźroczej, chwilami podrzucając się nad powierzchnię wody, by złowić muszkę fruwającą. Przestał płakać, by się lepiej przyglądać, gdyż mocno go te ich manewry interesowały. Chwilami jednak, podobnie jak podczas uciszenia się burzy, nagle zrywa się wichura, zginając drzewa, by następnie zmilknąć w oddali, tak jemu z bólem dojmującym raz po raz wracała myśl:

— Muszę się utopić, ponieważ nie mam ojca.

Było bardzo ciepło, bardzo przyjemnie. Słońce łagodne wygrzewało trawę. Woda lśniła jak zwierciadło. A Szymusia ogarniało uczucie błogie, następujące skutkiem wyczerpania, po płaczu, i brała go wielka ochota zaśnięcia na trawie w skwarze słonecznym.

Żabka zielona skoczyła mu pod same nogi. Usiłował ją schwycić, lecz umknęła. Zaczął biec za nią, lecz trzykrotnie wymykała mu się z pod ręki. Nareszcie uchwycił ją za tylne kończyny i śmiał się w głos, patrząc na jej próby wymknięcia mu się z ręki. Podnosiła się na przed nich nóżkach, poczem odprężając się nagle, wydłużała je sztywnie jak dwa drążki, a wytrzeszczając oczy całkiem krągłe, ze złotą obwódką, wymachiwała w powietrzu przedniemi nóżkami, niby rękoma. To mu przypomniało zabawkę z cieniutkich deszczułek, gwoździkiem zbitych na krzyż, jedna na drugiej, które przez ruch podobny wprawiają w marsz żołnierzyków, przytwierdzonych u góry. Zaczął myśleć o domu, o matce i znów ogarnął go smutek ogromny i zaczął płakać ponownie. Dreszcz przebiegał mu po ciele; padł na kolana i zaczął odmawiać modlitwę, jak to zwykł czynić przed zaśnięciem. Nie mógł jej jednak dokończyć, gdyż zdławiły ją łkania gwałtowne, zupełnie go obezwładniając. Nic już nie myślał; nic nie widział wokół siebie, płacząc tylko bezpamiętnie.

Nagle ciężka jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu, a gruby głos zagadnął:

— A co cię to tak smuci, mój mały?

Szymuś się odwrócił. Robotnik rosły, z zarostem i czarnym kędzierzawym włosem dobrotliwie na niego patrzył. Ze łzami w oczach i krtani odparł:

— Bili mnie... dlatego... że że... nie mam ojca...

— Jakże to? — z uśmiechem pytał robotnik. — Przecież każdy musi mieć ojca.

Malec ciągle jeszcze wstrząsany łkaniem, wyjąkał:

— Ja... ja... nie mam...

Robotnik spoważniał nagle. Poznał teraz synka Blanchotte'y, a jakkolwiek od niedawna dopiero przebywał w tej miejscowości, to jednak mniej więcej znał jej historję.

— Chodź mały ze mną i uspokój się. Odprowadzę cię do matki. Już ty dostaniesz... ojca.

Ruszyli w drogę. Robotnik trzymał malca za rękę, uśmiechając się do siebie, gdyż wcale się nie gniewał o to, że zobaczy Blanchottę uchodzącą za jedną z najładniejszych dziewcząt. Może też sobie myślał, że dziewczyna, która już raz zbłądziła, nie powinna być zbyt sroga.

Poszli do domku białego, bardzo schludnego.

— To tu — rzekł malec. I zawołał: — Matusiu!

Ukazała się kobieta, a robotnik na jej widok przestał się nagle uśmiechać, gdyż natychmiast zrozumiał, że nie uda się pożartować z tą wysoką, bladą dziewczyną, co z surową twarzą przystanęła na progu, jakby broniąc wstępu do domu, gdzie została już raz oszukaną. Onieśmielony, z kaszkietem w ręku, bełkotał:

— Odprowadzam pani synka, który się zabłąkał nad rzeką.

Szymuś jednak rzucił się matce na szyję i znów zalewając się łzami, zawołał:



— Nie, matusiu! Ja się chciałem utopić, bo mnie chłopcy bili... bili mnie... dlatego, że nie mam ojca.

Szkarłat gorący oblał twarz młodej kobiety i w udręce straszliwej namiętnie uściskała dziecko, a łzy nagle rzuciły się jej do oczu. Robotnik wzruszony stał obok, nie wiedząc jakby się tu oddalić. Wtem Szymuś podbiegł do niego i spytał:

— Możebyście wy byli moim ojcem?

Nastało wielkie milczenie. Blanchotte milcząca i zdjęta wstydem bolesnym, oparła się o ścianę, obydwiema rękami przyciskając serce. Malec, widząc, że mu nie odpowiadają, dodał:

— Jeżeli nie zechcecie, to się pójdę utopić.

Robotnik obracając to w żart, odparł ze śmiechem:

— Dobrze, dobrze, już chcę.

— A jak się wy nazywacie, żebym wiedział, co powiedzieć chłopcom, gdy się mnie o to spytają? — nalegał malec.

— Filip — odparł robotnik.

Szymuś ucichł na chwilę, by sobie dobrze wbić w pamięć to imię, poczem wyciągnął do niego ręce, całkiem już pocieszony, i rzekł:

— Dobrze. To wy Filipie, będziecie już moim ojcem.

Robotnik podniósł go do góry, ucałował w oba policzki, poczem oddalił się szybko wielkiemi krokami.

Gdy nazajutrz rano chłopczyk przyszedł do szkoły, przywitał go śmiech szyderski; a gdy po wyjściu ze szkoły jeden z chłopców znów go chciał zaczepić, Szymuś rzucił mu w twarz słowa, niby pocisk druzgocący:

— Filip się nazywa mój ojciec.

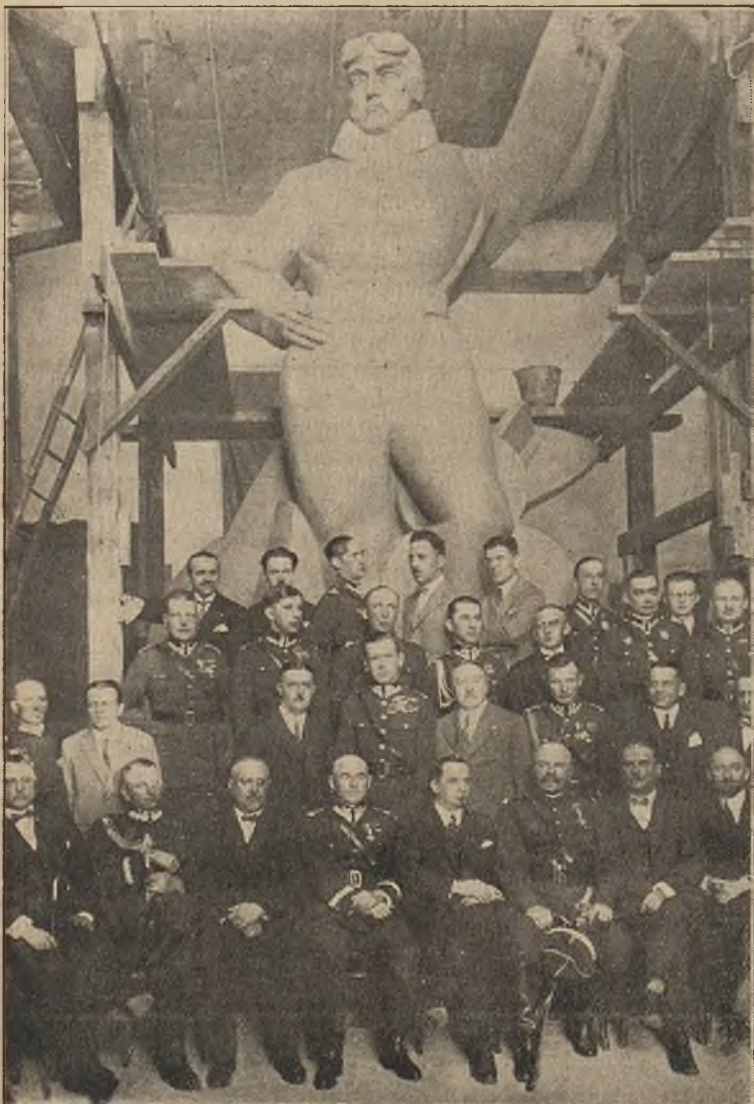
Wycia ogłuszające rozległy się ze wszech stron.

— Filip? Kto? Co... Jaki Filip?... Co to jest za Filip?... Skądżeś go wziął, tego swojego Filipa?...

Szymuś nie odpowiadał, lecz niezachwiany w swojej wierze, wyzywał ich hardem spojrzeniem, gotów raczej pozwolić się męczyć, niż uciekać przed nimi. Nauczyciel obronił go przed prześladowcami i chłopczyk wrócił do matki.

Podczas trzech następnych miesięcy olbrzymi robotnik, Filip, przechodził często koło domku Blanchotte'y i nieraz odważył się z nią porozmawiać, gdy szyła przy otwartem oknie. Odpowiadała mu uprzejmie, zawsze poważna, nigdy się nie

*(Dokończenie na str. 12-ej)*



Wkrótce w stolicy na placu Unji Lubelskiej stanie dzieło E. Wittiga: „Pomnik lotnika polskiego". Niedawno w tej sprawie obradował komitet jego budowy. Siedzą od prawej do lewej: dyr. Skotnicki, gen. Raczyński, wiceprezydent Jankowski, min. Niezabytowski, gen. Konarzewski, prof. Wittig, gen Rydz-Śmigły, mecenas Lednicki, min. Janicki, wice min. Eberhardt, płk. Maleszewski



Długie ogonki wyborców, sarkając na zbyt długie wyczekiwanie spełniały swój obowiązek obywatelski, pchając się do tajemniczej urny, skąd miały się wyłonić wszechmocne oblicza panów i gospodarczy stolicy Rzeczypospolitej



W ciasnych i prymitywnie nieraz urządzonych lokalach wyborczych odbywały się sceny nieporozumień z powodu wpisania lub niewpisania na listę wyborczą, po godzinnem nieraz staniu w ogonku, co wobec „majowej" pogody nie należało do przyjemności.





Przedwyborcza agitacja wrzała na ulicach stolicy. Wszelkich używano środków, by skaptować mniej uświadomionego obywatela, który w rezultacie gubił się w sielankowej wartości cyfr, rzucanych mu pod nogi, wtykanych do ręki i pod nos puszczanych na balonikach.



Sierżant 28 p. p. wbija gwóźdź honorowy w drzewce nowej chorągwi podczas niedawnej uroczystości pułkowej, jaka odbyła się w Łodzi. Z lewej strony sztandar trzyma prezes Rady miejskiej dr. Fichna, z prawej kapelan 28 p. p. ks. Olesiński



Nungesser i Coli, przepadli bez wieści podczas lotu Paryż—New-York. Szczęśliwym zdobywcą rekordu został amerykanin Lindbergh



Trzej Hohenzollernowie: książęta Eitel, Wilhelm i Oskar paradują wraz ze „Stahlhelmem“ po ulicach Berlina



Pokojowy nastrój niemiecki: Tak wyglądało 100.000 „stalowych hełmów“, maszerujących przez ulice Berlina, by zaprotestować przeciwko Traktatowi Wersalskiemu





Dożynki włoskie: Pierwsze owoce Mussoliniemu




# Co wystawia Paryż?

Piękną jest wiosna w Paryżu, gdzie bardziej, niż w innem mieście, czuje się na każdym kroku, jak młode powstaje życie, budząc w tłumach obcych nawet przybyszów tak Francuzom właściwą „radość życia“.

Kokieteryjnie uśmiecha się Paryż, przystrojony w dziewiczą zieleń drzew, przepojony aromatem wiosennego kwiecia, lśniący brylantowym deszczem z wodotrysków wśród pstrych rabatów klombów.

Raduje się Paryż i każdy mieszkaniec, nawet ten, dla którego złą macochą los się okazał, na wiosnę, z pewnością choć okruszynę szczęścia znajdzie.

Wiosna w Paryżu jest wielkiem świętem artystów.

Salony doroczne szeroko otwierają swe podwoje, gościny użyczając licznym talentom, które na tym gruncie tak bujnie kwitną.

Trzy są w Paryżu salony wiosenne, które epokę stanowią dla całego niemal świata: pierwszy, o najstarszej tradycji, to „Salon des Artistes Français“; za nim idzie Wystawa „Societé Nationale des Beaux Arts“ i wreszcie plejada młodych, która osobny namiot swój rozbija w pałacu „Tuileries“.

Dzieła sztuki, wystawione w tych salonach, są mniej lub więcej znane, wiele z nich bowiem widziano w licznie rozsypanych w Paryżu prywatnych salonach sztuki i kunsthändlerniach.

Skupienie tylu dzieł sztuki (zgórą 2,000 wystawców corocznie udział bierze w jednym salonie „des Artistes Français“) daje możność dokładnego zapoznania się z różnorodnemi kierunkami, oraz stworzenia właściwej syntezy tego, co nazwać można przeważającym prądem.

Dziwna rzecz, iż pomimo tego




Albert Laurens: „Święty Marcin“

szalonego tempa życia, jakiem odznacza się metropolja świata, przewaga spoczywa jednak po stronie starszej generacji artystów, akademików prawie.

Czyż nie jest szlachetnie piękny klasyczny „Św. Marcin“, dzieło jednego z najznakomitszych mistrzów francuskich, Alberta Laurens'a? Czyż zdumiewającym tchnący realizmem, a jednak tak pełny umiaru „Trybunał“ znakomitego Forain'a nie zasługuje na szczególne wyróżnienie?

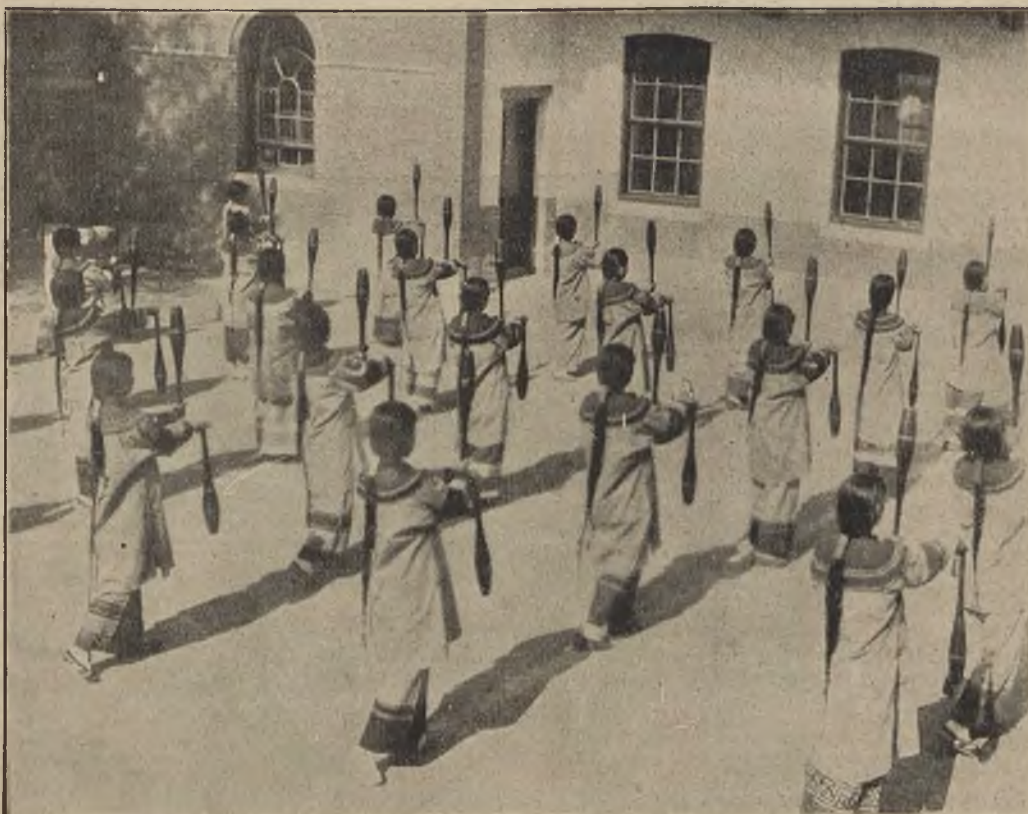
I takie właśnie dzieła stanowią ogólną nutę starszych salonów.

W „Tuileries“, gdzie młoda sztuka szczycić się może starymi i wytrawnymi patronami, jak Besnard, lub zmarłym niedawno Monet'em, znać poszukiwanie nowych dróg, a jednocześnie jakby pewien niepokój, szczerem, czy symulowanem nieuctwem pokrywający pragnie-



J. L. Forain: „Przed trybunałem“.



Wszechwładny sport w swoim pochodzie dotarł i do Chin, gdzie kulawe i z pomiażdżonemi stopami do niedawna Chinki zaniechały szpetnego obyczaju robienia z nogi koziego kopytka i dziś z zamiłowaniem oddają się sportowi



I dzikusi abisyńscy też z zamiłowaniem oddają się sportowi, nadając mu groźne cechy przysposobienia bojowego.

### ZAWODY LEKKOATLETYCZNE W GDAŃSKU.

W dniu 9 i 10 lipca odbędą się w Gdańsku międzynarodowe zawody lekkoatletyczne, w których udział weźmie reprezentacja polska.

=

### KONOPACKA W BERLINIE.

Jeszcze kilka dni dzieli nas od międzynarodowych zawodów kobiecych, które się odbędą w dniu 12 czerwca w Berlinie. Zapamiętale ćwiczy dzielna nasza sportsmenka, trudną bowiem może mieć przeprawę ze słynną Niemką, Milly Reuter.

=

### MIĘDZYNARODOWE ŚWIĘTO SPORTOWE WE LWOWIE.

Z okazji Wystawy Sportowej we Lwowie odbędą się w dniu 11, 12 i 13 czerwca międzynarodowe zawody lekkoatletyczne, na które przybędą wybitni zawodnicy zagraniczni: Göro i Kesmarky (Węgry), Trossbach (Niemcy), Vohralik (Czechosłowacja) i wielu innych.

=

### III NARODOWE ZAWODY STRZELECKIE.

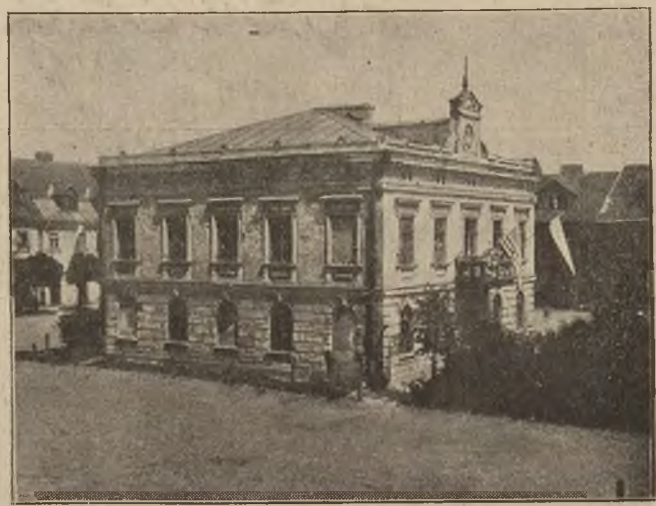
W Toruniu odbyły się III narodowe zawody strzeleckie, które posłużyły do definitywnego ukonstytuowania składu reprezentacji na zawody w Rzymie (27.5—2.6).

Mistrzostwo Polski z broni długiej (dyst. 300 m.) zdobył por. Zalewski (207 pkt.); mistrzostwo z broni krótkiej (20 m.) w udziale przypadło por. Millerowi (99 pkt.), z broni małokalibrowej (50 m.) — Ruteckiemu (387 pkt.) i mistrzostwo myśliwskie do rzutków — płk. Weckiemu (15 m., 9 pkt.)

# 2) Z naszych wycieczek letnich



Gmach Starostwa w Łęczycy przystrojony odświętnie



Ratusz w Łęczycy obecnie w restaurowa niu

Nim przejdziemy do ciekawych osobliwości i zabytków, kilka słów poświęcimy miastu.

Nie tylko bowiem te miejscowości, w których znaleźć możemy piękne zabytki, zaciekawiać winny szeroki ogół. Często i głuchy zakątek, ot tak sobie



Jerzy Dodacki, burmistrz m. Łęczycy

współcześnie zabudowany, plac, ratusz, szkoła, szpital, fabryka, ciekawym mogą być materjałem, boć nieraz chlubnie świadczyć mogą o żywotnych siłach narodu, który otrząsnąwszy się z pęt niewoli, rozumnie sobie radzi w granicach tej miniaturowej ojczyzny lokalnej, decydując w zakresie atrybucyj, samorządowych o dalszym jej rozroście.

Łęczyca liczy 11.500 ludności. Położona wzdłuż bagien torfowych odznacza się niezbyt zdrowym, wręcz nawet epidemicznym, malarycznym klimatem.

Dobitnym dowodem wzrastającego w Łęczycy postępu jest rozwój szkolnictwa: 4 szkoły powszechne, 8-klasowa szkoła realna i humanistyczne gimnazjum żeńskie fundacji Polskiej Macierzy Szkolnej, seminarjum państwowe z internatem, niewątpliwie wystarczają na potrzeby miejscowe. Szkoły powszechne w tym roku jeszcze usadowią się w nowym, pięknym gmachu o 27 salach.

Kanalizacji Łęczyca nie posiada, korzysta jednak z wodociągów i 2 studzien artezyjskich.

Oświetlenia i prądu dostarcza świeżo zremontowana elektrownia.

Zewnętrzne spostrzeżenia potwierdza nam burmistrz, p. Jerzy Dodacki, ruchliwy działacz społeczny. Pan Dodacki, urodzony we Lwowie, wybitne posiada kwalifikacje na administratora, ma bowiem poza gruntownemi studjami, odbytemi zagranicą, długoletnią praktykę gospodarczą, (administrował rozległemi dobrami Michałowskich i Jełowickich).

Z zainteresowaniem słuchamy wyczerpujących wyjaśnień p. burmistrza, który z pewnością dokona zamierzonych poczynań.



Osiedle, liczące 1000 mieszkań, zbudowane w ostatnich czasach w miejscowości Britz w Niemczech. Cechą charakterystyczną mieszkań jest to, iż każde o jakiejś porze dnia jest dostępne dla promieni słońca. Osiedle widzimy z lotu ptaka.

Jakież westchnienie wydobywa się z naszej piersi, gdy patrzymy na mieszkania, które wogóle są budowane, a do tego tak, iż żadne z nich nie jest trupiarnią ani grobem za życia! . . .

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.



Lucien Maillol: „Dwie tancerki"



J. Marval: „Portret"

nie wyróżnienia się oryginalnością, w której chyba jedynie snobizm gustować może.

Przewaga jest po stronie starszych, i fakt ten zdradza może tajemnicę radości życia, którą Francuzi znajdują właśnie w przywiązaniu do tradycji, które przetrwało pomimo największych wstrząsów kraju.

R-i.

Paryż, maj 1927.



Jubileusz Wandy Siemaszkowej w Teatrze Wielkim we Lwowie. Jubilatkę zasypano kwiatami

# Teatr Komedji Ćwiklińskiej i Fertnera

*„Statyści", komedja Andrzeja Birabeau, przekład z francuskiego Hildy Latoszyńskiej*

Temat, jaki sobie obrał do swojej komedji Birabeau, jest raczej dramatem lub tragedją, głęboko tkwiącą w każdym narodzie, niemiłosiernie dotkniętym skutkami wielkiej wojny. Traktuje bowiem o niedoli ludzi dobrze wychowanych, kulturalnych, którzy utracili możność zarobkowania w sposób, zapewniający im choćby względny dobrobyt, a przyzwyczajeni do tytułów, wygód i wielkich stanowisk.

Biorąc taki temat za intrygę do komedji, Birabeau nie wyczuwał wcale, z jaką łatwością wpadnie na drogę niepewności, błądząc między formą komedji i tragedji.

Nowopowstały hotel musi dla reklamy na pierwszy czas swego istnienia zapełnić się gośćmi „wysoko postawionymi". Ale goście ci, prócz instynktu samozachowawczego, zapędzającego ich dla konieczności życiowych do uprawiania procederu statystów, mają jeszcze serca i zmysły i swoje własne życie, nie wystawiane na pokaz. I należy przewidywać, że wśród tego środowiska aktorów z konieczności dwa serca zapłoną do siebie niekłamanem uczuciem, które da im już nie złudzenie blichtru, lecz istotne szczęście.

Taki jest w streszczeniu sens komedji Birabeau, posiadającej bardzo interesujące zawiązanie, i banalny i ckliwy sentymentalizm; wszystkiego po trosze.

Od katastrofy zejścia komedji do „zero" wartości ratuje gra p. Ćwiklińskiej i żywe tempo reżyserji. Jedynie dla zobaczenia nie dającej się z nikim i niczem porównać gry p. Ćwiklińskiej, warto zjechać do Warszawy nawet z głuchej prowincji tembardziej, że rola Manon (tak się nazywa bohaterka komedji) to setna kreacja tej najświetniejszej polskiej artystki komedjowej. Pp. Kościeszanka, Grabowski, Justjan i Roland wywiązali się z trudnego i niewdzięcznego zadania, jak mogli najlepiej.

M. S.




Utalentowany przedstawiciel lekkiej muzy — Krukowski

# Z za kulis ideowego oszustwa

Wielkie przewroty dziejowe mają to do siebie, iż obok wielkich postaci wydobywają na powierzchnię życia wielkich łotrów, którzy, drapując się w togę służby ideowej, są tylko zwykłymi oszustami i wyrzutkami społeczeństwa.

Do liczby takich w przededniu Wielkiej Rewolucji Francuskiej należeli: St. Germain, Mesmer, Cagliostro. W Rosji przed jej ruiną byli: Parvus i Rasputin.



*Kardynał de Rohan*

I co jest ciekawe, iż ludzie ci opierają się zwykle na organizacjach tajnych, by przy ich pomocy zawoalować swoją nędzną grę, obliczoną jedynie na łatwy zysk i materjalne dobra, osiągane częstokroć kosztem ludzi pracy i talentu, zwykle łatwowiernych i w dobrej wierze wciąganych w bagno występku, by zbyt późno orjentować się, jakie błoto wydawało się im złotem i prawdą życia.

Pono ta dziwna gra i tajemne jej cele sięgają czasów zamierzchłego Egiptu, skąd wywodzi się ideologja ordynarnego oszustwa oraz programy, dziwnie zbliżone do obecnego programu komunistów. Takim przynajmniej, z dumą powołując się na tradycje staroegipskie, był działający w końcu XVIII wieku związek masoński „illuminatów", rozumujących, jak następuje:



*Hrabina de la Motte Valois*



*Stracona pod gilotyną królowa Francji, Marja-Antonina*

Człowiek skutkiem skomplikowanych warunków cywilizacji znajduje się w niewoli. Aby uzyskać utraconą wolność i równość, musi zwalić



*Naszyjnik królowei, który stoczył głowy ukoronowane pod nóż gilotyny*

wszelką krępującą go władzę i nie uznawać żadnych autorytetów. Prywatna własność i prawo dziedziczenia mają być zniesione, gdyż wszelkie dobra ziemskie są własnością wspólną. Idea ojczyzny i rodziny — to głupstwa, ludzkość bowiem to naturalna gromada, jak stado baranów czy wołów. Precz z naukami, głoszonemi przez Kościół, niema bowiem innej wiary, niż ta, którą dyktuje przyroda. Rozum to jedyne prawo, którem się winna rządzic ludzkość. A więc precz z nauką i sztuką, bo to wymysł mózgów ludzkich daremnie pragnących ujarzmić naturę i przyrodę.

Czy to nie dzisiejszy komunizm, głoszony już na schyłku XVIII wieku? Czyż Lenin i Trocki głosili coś więcej, doprowadzając „uszczęśliwioną" Rosję do ludożerstwa? Czyż illuminaci, występujący pod pseudonimami „Spartakusów", „Ajaksów" i „Demostenesów", to nie obecne pseudonimy bandy degeneratów moralnych, zdążających tą samą drogą do tychże celów?

Głośny Józef Balsamo. inaczej zwany hrabią Cagliostro, jeszcze inaczej Najwyższy Kopt czy Wielki Mistrz Mędrców Egipskich, to zwykły bandyta moralny, który wędrując ze swojemi kuglarskiemi sztuczkami, nawiedził również i dwór polski, praktyki swe odbywając w pałacyku na Woli przy udziale entuzjazmującego się dla jego wiedzy i wartości stolnika wielkiego koronnego Fryderyka Augusta Moszyńskiego.

— Jestem ten, którym jest — mawiał o sobie tajemniczo wielki szarlatan i demagog, noszący fantastyczny tytuł hrabiowski, w aksamitnych pludrach i pudrowanej peruce goszczący po dworach królów i książąt, by stumaniać naiwnych swemi praktykami i z nich, a także z praktyk swej żony, pięknej Lorenzy, wyciągać korzyści.

Cagliostro, ten „boski" mędrzec był poprostu agentem jakiegoś tajemniczego Ximenesa, z którym się spotykał w Mitawie i od którego otrzymywał zarówno instrukcje, jak i zasiłki pieniężne na prowadzenie swej destrukcyjnej, osłoniętej fał-



*Józef Balsamo vel hrabia Cagliostro*

szywą ideą roboty. Ximenes wraz z całym sztabem agentów wyższych i niższych to nic innego, tylko „jaczejka", skąd promieniowała nie tyle „Wielka Prawda", ile „Wielkie Łotrostwo", zmierzające ku temu, by na gruzach i pohańbieniu innych zasiadła garstka wybrańców, zgniłków moralnych i satrapów.

„Boski“ Cagliostro umiejętnie zarzucał swe sieci i rozszerzał swe wpływy, jednając dla swoich nieprawości nawet takie postacie, jak kardynała de Rohan, markizę de Boulainvilliers i hrabinę de la Motte Valois. Przy ich pomocy właśnie wykonał pierwszy atak na „prestige“ tronu francuskiego, który zadrżał w posadach, tocząc się pod gilotynę rewolucji.

Pierwszy akt tej tragedji, rozegrywanej przez Cagliostro w imię rzekomo górnych ideałów odrodzenia człowieka, to tak zwana scena w gaju Wenery.

Pouczona przez Cagliostro hrabina de la Motte zwierza się popadłemu w niełaskę u tronu kardynałowi de Rohan ze swych trudności materjalnych. Kardynał de Rohan, odpłacając pięknem za nadobne, zwierza się ze swoich kłopotów. Gra rozpoczęta. Hrabina de la Motte udaje, iż jeździ w jego sprawach do Versalu, uspakaja kardynała i twierdzi, iż udało jej się nakłonić królowę, by zmieniła swe zdanie o kardynale i skłonna jest obdarzyć go zaufaniem. Rzecz jednak cała musi odbyć się w tajemnicy, i kardynał ma się zadowolnić narazie wymianą korespondencji.

Listy, oczywiście, są podrobione. Z początku są treści politycznej, następnie zakrada się do nich nuta bardziej osobista, tak, że wszystko za dobrą monetę biorący kardynał jest w siódmem niebie i z królowej robi sobie ideał gorącej miłości. Kulminacyjnym punktem tej gry jest spotkanie w gaju Wenery, na które z bijącem sercem spieszy kardynał, by usłyszeć z ust królowej na własne uszy słowa przebaczenia i zapewnienie wielkiej politycznej karjery, której jest pewien dotąd. Znowu oszustwo. Modystka z Palais Royal, odpowiednio przygotowana przez Cagliostro, odegrała rolę królowej, wyszeptała kilka wyuczonych słów z godnością monarszą, rzuciła róże na pożegnanie i skryła się w ciemnościach.

Gra się udała. Teraz trzeba coś zarobić na tem.

I oto mamy sprawę naszyjnika wartości ni mniej ni więcej tylko 2 miljonów franków na owe czasy. Sprawa ta po dziś dzień pozostała tajemnicą, niewyjaśnioną w szczegółach, aczkolwiek dociekania historyczne przedstawiają ją w ten sposób:

Dwaj jubilerzy, pracujący dla dworu francuskiego, przygotowali olbrzymią kolję brylantową, namawiając królowę Marję Antoninę, by zechciała ją nabyć. Królowa odmówiła się od kosztownej tranzakcji, jubilerzy nie dali jednak za wygranę, wszelkich używając sposobów, by swego dopiąć. Przewąchał łaskawy kąsek rzecznik i sługa „Wielkiej Prawdy“ Józef Balsamo vel hrabia Cagliostro. I oto zjawia się nagle na horyzoncie hrabina de la Motte, która zaofiarowuje jubilerom swe pośrednictwo. Do złodziejstwa i szantażu był potrzebny kardynał de Rohan, który ciężko zapłacił za swą lekkomyślność. Jego użyto, by zrealizował rzekomo na wyraźne życzenie królowej tę tranzakcję. Kardynał de Rohan, nie podejrzewając niczego od gaju Wenery aż do końca dni swoich, zakupił kolję. Gdy wręczono ją sprytnej pośredniczce, ta natychmiast wyjęła drogocenne kamienie, sprzedając je wraz z Cagliostro na rynkach Paryża, Amsterdamu i Londynu.

Nie o to jednak tylko chodziło. Sprawa wyszła na jaw w pół roku później, kiedy trzeba było skompromitować tron i osoby wielkoświatowe, aby powędrowały do Bastylji. Cagliostro przykłada swą rękę tem pewniej, iż wie zgóry, iż kardynał de Rohan to dżentelmen, który, pomnąc o słodkiem spotkaniu w gaju Wenery, zginie, lecz królowej nie wyda.

Tak się też stało. Kardynał de Rohan zginął, nie odsłaniając rąbka tajemnicy, którą zabrał ze sobą do grobu.

Cagliostro, jak zwykle wszyscy sprytni łotrzykowie, cało wywinął się afery. Pieniądze zarobił, ze zleceń Ximenesa dla „Wielkiej Prawdy“ się wywiązał i, opuściwszy Paryż, wyjechał do Londynu, a później do Rzymu, by tam również odbywać swe praktyki.

W Rzymie dopiero dosięgła go ręka inkwizycji. Wtrącony do więzienia według jednej wersji zmarł w jego murach, według innej wersji z więzienia uciekł. A są i tacy, którzy twierdzą, że „boski“ Wielki Kopt żyje.

Dziwnie musiałby być stary, skoro urodził się w 1743 roku, lecz skoro sam o sobie twierdził, iż urodził się przed potopem, to może i żyje, gdyż „Wielkie Łotrostwo“, drapujące się w płaszcz „Wielkiej Prawdy“ nie znika, wlokąc się za ludzkością, — jak wierny pies, by urągać swoim szczekiem, pyskować i kąsać.



*— Salomon, zdaje się, że żona twoja NAS zdradza.*



*— Jak panu smakuje ta ryba?*
*— Nic szczególnego. Jadałem lepszą.*
*— To w każdym razie nie u nas...*




## *KOSTJUMY*



*Komplet, który dziś podajemy, doskonale nadaje się dla tych z pań, które, lubiąc ruch i sport, przekładać będą wygodny kostjum.*

*Spódnica w grube, około 15 cm., plisy na linji bioder, ściągnięta jest paseczkiem z tegoż, co spódnica materjału, na boku zapinanym.*

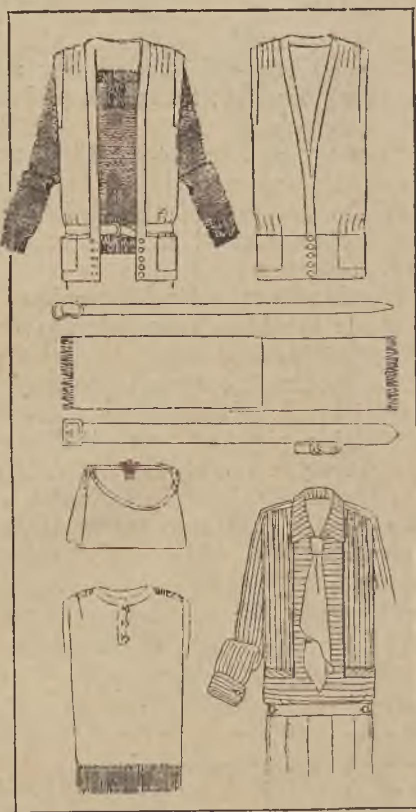
*Bluzka, o ile z lekkiego materjału, wpuszcza się pod spódnicę, swetry, naodwrót, wypuszcza się na zewnątrz.*

*Na planszy widzimy właśnie takie modele.*

*Najodpowiedniejszemi i najbardziej praktycznemi dla podobnego kompletu kolorami będą bronzowy, beige lub zielony w tonie rezedy.*

*Przybranie kostjumu szarfą, identyczną ze wstążką na kapeluszu, jest coraz częściej noszone.*

*NA PLANSZY WIDZIMY WZORY I MODELE*



# *Jak wyglądają nasze Polki w oświetleniu francuskiej Ewy?*

W francuskim tygodniku kobiecym p. t. „Eve" wyczytaliśmy ciekawe wrażenie, jakie wynieść może cudzoziemiec o Polsce.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dzielono się podobnemi rezultatami z szerokiemi sferami społeczeństwa. „Eve" bowiem należy do najpoczytniejszych czasopism francuskich.

Niejaka pani Lame-Desprées, autorka obszernego ilustrowanego artykułu o kobiecie polskiej (ilustracje są, zdaje się węgierskie) rozpoczyna reminiscencje ze swej podróży od Kościoła „Maryaki" (?!) w Krakowie. Pomijamy najrozmaitsze „kawały" w rodzaju wyjaśnień o metodach szkolnictwa w Polsce, o roli kobiety podczas ubiegłej wojny, kiedy to 8 batalјonów kobiecych pod wodzą „oficerek" krew przelewało nad Wisłą lub mężnie broniło Wilna. Gdy jednak czytelnik dochodzi do zakończenia artykułu, ilustrowanego, jak powiedzieliśmy, jakiemiś węgierskiemi fotografjami, wyobraża sobie pewnie, że Polska to taki sobie kraj w rodzaju prymitywnej Albanji, oto bowiem, co spostrzegawcza autorka pisze o strojach:

„Kobieta polska sto razy powabniejszą jest w stroju narodowym, niż w kostjumie współczesnym, choćby najlepszego kroju".

Biedny czytelnik, który zachęcony artykułem pani Lame-Desprées do Polski wybierze się, jak na egzotyczną podróż!

Szkoda tylko, że rodacy nasi, którzy gościli panią Lame-Desprées zamiast śpiewać jej, jak wspomina z rozczuleniem autorka, bretońskie romanse, lepiej nie uświadomili obcego gościa, a tak przecież bywa, niestety, że dumniejsi bywamy ze swego akcentu francuskiego, niż z tego, co kraj nasz posiada.




**X. M. w Wilnie.** Tylko operacja, obawy niema.

**P. Grand w Łosicach.** Wągry należy jak najdokładniej powyjmować za pomocą łyżeczki dr. Unny, zastosować parę razy dziennie płyn „Otello", groszkowe plamki należałoby poprzypalać, a na piegi „Tuja" i nic więcej.
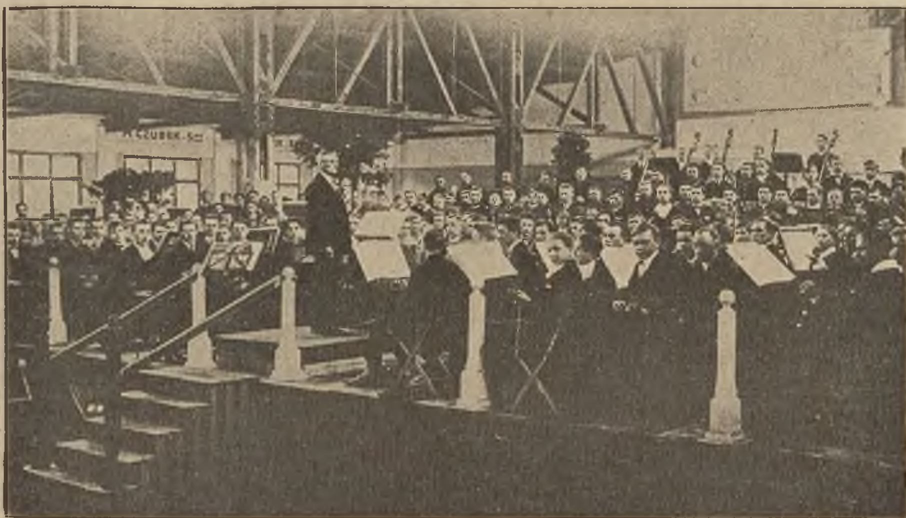
**P. Stanisławie.** Codziennie dwa razy oblewać całe ciało i zaraz mocno wytrzeć ręcznikiem, poczem natrzeć mieszaniną: wody wapiennej 20.0, czystej oliwy 30.0 i 10 kropli roztworu amoniaku anyżkowego — to wystarczy.

**P. Izydorowi.** Udać się do lekarza chorób wewnętrznych.

**P.P. S. K. Witoldowi i innym.** Porady prześlę pocztą. Adresować do mnie: W. Klimecki, Warszawa, Niecała 5.

**Wł. Klimecki.**

# Rzeczy ciekawe



W „Hali maszyn“ w Poznaniu odbył się wielki koncert połączonych orkiestr wielkopolskich seminarjów naucz. cielskich przy udziale 300 osób

Dla zobrazowania szybkości, z jaką otrzymywane są wiadomości dziennikarskie, nadano z Kolumby depeszę z racji bankietu dziennikarskiego, która przez New Jork, Londyn, Moskwę, Szanghaj, San-Francisko wróciło do Kolumbji po ośmiu minutach.

*TANIA INFORMACJA*



*— Nie mogę wyjść za pana, panie Adolfie, fatalne mam o panu informacje i jeszcze musiałam zapłacić za nie 15 złotych.*

*— Co pani chce mieć za informacje za 15 złotych?*

Niejaka Kajla Kamieniarz, pacjentka szpitala żydowskiego w Warszawie, urodziła w tych dniach dziecko płci żeńskiej, które ma trzy nosy, szerokie usta i jest bardziej podobne do psa rasy buldogów lub mopsa, niźli do człowieka. Prześwietlenie rentgenowskie profilu dziecka dało formalny szkielet młodego pieska. Matka i dziecko-dziwoląg czują się dobrze.

Huragan, szalejący nad Kokandem przez 16 godzin z rzędu, zasypał całe miasto piaskiem z okolicznej pustyni. W niektórych miejscach wysokość powłowi piaskowej na ulicach miasta dosięga 5 metrów. Niedaleko murów miasta zginęła od uduszenia piaskiem karawana.

*

Powieściopisarz Roland Dorgeles ofiarował słynnemu rysownikowi i ilustratorowi Daragnesowi rękopis swej książki „Krzyż z drzewa“. Ilustrator sprzedał rękopis za 30.000 fr. handlarzowi autografów, od którego z kolei nabył autograf za 45.000 fr. sam autor.

*

W dniu 10 maja Rumunja obchodziła 50-lecie odzyskania niepodległości. Do stolicy przybyło bardzo wiele delegatów prowincjonalnych, którzy byli obecni na nadzwyczajnym posiedzeniu parlamentu. Wieczorem odbyła się wspaniała uroczystość w teatrze narodowym.

*

Prof Faworskij z Kijowa zaprojektował niszczenie trupów w drodze chemicznej, przy pomocy stosowania odpowiednich kwasów. Doświadczenie, przeprowadzone na trupie królika wykazało, że został całkowicie rozpuszczony w ciągu 11 minut.

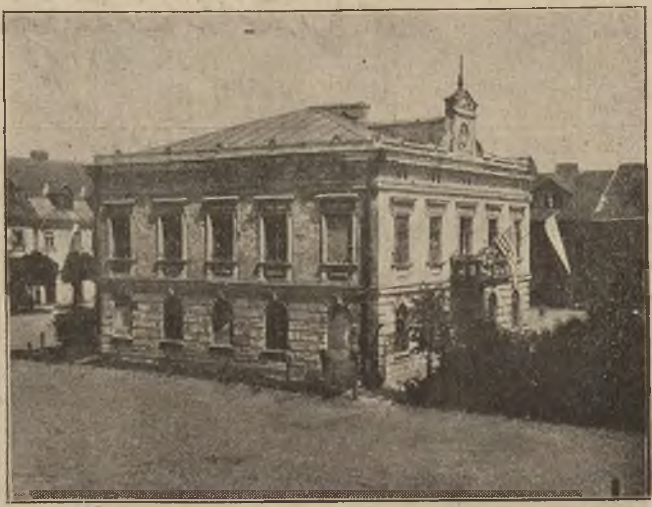


A jednak pracować zawsze można: Inwalida, sparaliżowany na nogi, zarabia na swoje utrzymanie wyrabianiem minjaturowych domków lustrzanych

# 2) Z naszych wycieczek letnich



Gmach Starostwa w Łęczycy przystrojony odświętnie



Ratusz w Łęczycy obecnie w restaurowaniu

Nim przejdziemy do ciekawych osobliwości i zabytków, kilka słów poświęcimy miastu.

Nie tylko bowiem te miejscowości, w których znaleźć możemy piękne zabytki, zaciekawiać winny szeroki ogół. Często i głuchy zakątek, ot tak sobie



Jerzy Dodacki, burmistrz m. Łęczycy

współcześnie zabudowany, plac, ratusz, szkoła, szpital, fabryka, ciekawym mogą być materjałem, boć nieraz chlubnie świadczyć mogą o żywotnych siłach narodu, który otrząsnąwszy się z pęt niewoli, rozumnie sobie radzi w granicach tej miniaturowej ojczyzny lokalnej, decydując w zakresie atrybucyj, samorządowych o dalszym jej rozroście.

Łęczyca liczy 11.500 ludności. Położona wzdłuż bagien torfowych odznacza się niezbyt zdrowym, wręcz nawet epidemicznym, malarycznym klimatem.

Dobitnym dowodem wzrastającego w Łęczycy postępu jest rozwój szkolnictwa: 4 szkoły powszechne, 8-klasowa szkoła realna i humanistyczne gimnazjum żeńskie fundacji Polskiej Macierzy Szkolnej, seminarjum państwowe z internatem, niewątpliwie wystarczają na potrzeby miejscowe. Szkoły powszechne w tym roku jeszcze usadowią się w nowym, pięknym gmachu o 27 salach.

Kanalizacji Łęczyca nie posiada, korzysta jednak z wodociągów i 2 studzien artezyjskich.

Oświetlenia i prądu dostarcza świeżo zremontowana elektrownia.

Zewnętrzne spostrzeżenia potwierdza nam burmistrz, p. Jerzy Dodacki, ruchliwy działacz społeczny. Pan Dodacki, urodzony we Lwowie, wybitne posiada kwalifikacje na administratora, ma bowiem poza gruntownemi studjami, odbytemi zagranicą, długoletnią praktykę gospodarczą, (administrował rozległemi dobrami Michałowskich i Jełowickich).

Z zainteresowaniem słuchamy wyczerpujących wyjaśnień p. burmistrza, który z pewnością dokona zamierzonych poczynań.



Osiedle, liczące 1000 mieszkań, zbudowane w ostatnich czasach w miejscowości Britz w Niemczech. Cechą charakterystyczną mieszkań jest to, iż każde o jakiejś porze dnia jest dostępne dla promieni słońca. Osiedle widzimy z lotu ptaka.

Jakież westchnienie wydobywa się z naszej piersi, gdy patrzymy na mieszkania, które wogóle są budowane, a do tego tak, iż żadne z nich nie jest trupiarnią ani grobem za życia!...

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

# *Jak Dyndała, w czynach skory, listę stworzył na wybory...*

*Historja 8-a*



*Niczem nieboszczyk na marach,*
*siadl Dyndała na Bulwarach*
*i duma o swojej biedzie,*
*co, jak w konia, w niego jedzie,*
*a wokoło same draby*
*pewnie myślą, co skraść aby...*



*Nie, bynajmniej! Z dobrą miną*
*chcą się kumać z Dyndaliną...*
*— Towarzyszu! Rany boskie,*
*zrzuć, towarzysz, z serca troskę,*
*na wybory lud się garnie,*
*byle kupą, solidarnie...*



*Dyndale zagrało serce,*
*wiecznie-ż trwać ma w poniewierce?*
*— Patrz, towarzysz, oto lista,*
*pan kandydat, oczywista,*
*bo potrzeba nam frajera,*
*byle pyskacz, nie przechera...*



*— Pakt zawarty! Ręka w rękę,*
*przyjmijcie, bracia, podziękę,*
*byle razem, byle w kupie,*
*chyba że po naszym trupie!...*
*I z radości z każdej gęby*
*aż wylazły na wierzch zęby...*



*Mową błysnął wnet Dyndała...*
*Była świetna i wspaniała,*
*nikt nie wiedział, o co chodzi,*
*nawet mówca, ich dobrodziej,*
*ale Mańkę sparl żal taki,*
*że płakały i chłopaki...*



*I oto na ratusz ławą*
*śpieszą za Dyndały sprawą,*
*który niczem wódz na wojnie*
*lud prowadzi niespokojnie —*
*Mańka drze się co najgłośniej,*
*aż Dyndale serce rośnie...*

(Dokończenie w następnym numerze)

